PRAWDA

Pismo tygodniowe.

Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.

Rok XXXIV Nr. 9. *Warszawa, 28 lutego 1914.* Widok 3.

„Paskudna herezja“.

1.

Któżby się spodziewał, że z figlarnej bajki o masonach, którą nas tak długo częstowano w *Gazecie Warszawskiej*, wyłoni się bardzo poważny morał?

Na to się przecież obecnie zanosi, ku wielkiemu strapieniu autorów rzeczonej bajki.

Dyskusja bowiem przybrała niespodziewany obrót i zamiast nieobecnych masonów stawia znów na porządku dziennym poniechaną od pewnego czasu sprawę stosunku kościoła do narodu, stosunku, który tak tragicznie zaciążył na dziejach Polski, od czasu gdy go Piotr Skarga w sposób wiadomy określił.

2.

Zacznijmy jednak od początku.

Jest on bardzo zabawny.

Widząc, że galicyjskim jego kolegom powiodło się w r. z., ku wielkiej konfuzji zachowawców, zaprzęgnąć biskupów do swego rydwanu — zechciał p. Dmowski uczynić to samo.

Tedy, niewiele myśląc, rzucił magiczne hasło: szukajcie masonów! a gdy takowych poczęto w całym kraju tropić bez powodzenia, skierował śledztwo, niczem Sherlock Holmes, do redakcji świątobliwego *Słowa*.

I o dziwo! znalazło się tam dwóch — zresztą nieżywych — masonów: Straszewicz i Mendelson...

Możeby plon był obfitszy, gdyby obława poszła inną stroną. Dlaczego jednak — biedzi się czytelnik *Gazety* — dlaczego właśnie *tam* szukano masonów? cóż takiego zawiniło katolickie *Słowo*, że taki na nie rzucono dyshonor?

3.

Odpowiedź na to prosta: w pobożnych zachowawcach ze *Słowa* widzi p. Dmowski niemiłych i groźnych konkurentów, cieszących się wyłącznym faworem kleru, którego łaski zamierzył zaskarbić sobie *leader* «narodowej» naszej «demokracji». Skarżąc tedy naczelny organ «realistów» o przestawanie z notorycznymi masonami, pragnął p. Dmowski w jednym ogniu dwie upiec pieczenie: zdyskredytować swoich konkurentów i pobożną swą gorliwością zasłużyć na pochlebne w oczach Kościoła wyróżnienie.

— Za gruby kawał! powiecie, ale czyż «kawał» podobny nie udał się p. Grabskiemu w Galicji? Zresztą, p. Dmowski, który zazwyczaj rachuby swoje opiera na niezgłębionej głupocie ludzkiej, wziął pod uwagę dużą naiwność kleru, gdzie często pod pozorem wielkiej uczoności plebańska żyje prostota. I niebardzo się omylił, skoro tak miarodajne pismo, jak *Przegląd Katolicki* wyraża poważną wątpliwość, czy rewelacje *Gazety Warszawskiej* są «tak zupełnie pozbawione słuszności, jak chciałoby nas przekonać *Słowo* i czy godzi się je tak lekko traktować»...

4.

Możemy zapewnić bliższe i dalsze otoczenie ks. arcybiskupa, że był to gruby i niemądry manewr konkurencyjny ze strony *Ga-*

zety Warszawskiej, wykonany w tym celu, żeby skłócić tutejszy episkopat z obozem warszawskich zachowawców, podobnie jak skłócono biskupów galicyjskich z obozem zachowawców krakowskich.

Nas chyba nikt nie posądzi, że z kolei pragniemy poważnić kler z obozem p. Dmowskiego, by tym skuteczniej zabiegać samym o względy naszych biskupów. Przeciwnie: gdy w toku dalszej dyskusji padła ze szpalt *Słowa*, replika, wymierzona przez osobę duchowną i dotycząca już nie polityki partyjnej, ale narodowej — musimy tu kilka dobitnych słów prawdy powiedzieć pod adresem kleru.

5.

Autor rzeczonej repliki, widać dobrze powiadomiony o celach kampanji przeciwmasońskiej, wyjaśnia na wstępie, że «katolicyzm odżył w naszym kraju» i że «widoczną się stała jego powaga i moc społeczna» i ta moc «podobnie do wszelkiej realnej mocy, zyskała sobie dworaków».

«Dworaków» tych z obozu endecji świątobliwy autor przygarnąć nie chce, jako nieprawomyślnych i Kościołowi niemiłych.

Zraża go mianowicie teorja t. zw. egoizmu narodowego, w której dwaj eksperci wyznaczeni z ramienia kleru, mianowicie ks. Kujawiński i ks. dr. Hozakowski znaleźli «herezję i to bardzo paskudną, wprost i jaskrawie sprzeczną z nauką Kościoła.»

Sądzisz może, czytelniku, że z nauką Kościoła nie zgadza się nacjonalizm dlatego, że tchnie bezmierną nienawiścią do obcych, że sankcjonuje prawo siły i sprawiedliwością nazywa przemoc?

Oh, bynajmniej nie to zraża kościelnych ekspertów! Przecież Lojola i Liguori gorsze zalecają rzeczy, a jednak pasowano ich na świętych...

Wszeteczne wady demokr.-narodowej wszystkich trzech zaborów kryją się w jednej, pełnej niebezpieczeństw zasadzie, wedle której interesy katolickie mają być *podporządkowywane* interesom narodowym.

I łamiąc ręce ze grozy woła pisarz duchowny: «Ta zasada głoszona jest czasem wprost w teorji, czasem stosowana w praktyce z niesłychaną bezwzględnością, czasem tłomaczona w pismach dla ludu z przerażającym cynizmem!»

Takie zbrodnie cierpiane być nie mogą i oto, zamiast przygarnąć niefortunnych „dworaków", ksiądz ze *Słowa* karzącą dłonią stawia ich pod pręgierz.

6.

Czy tylko ich taki srogi dotyka wyrok? Czy aby „paskudna herezja" szerszych nie zatacza kręgów? czy nie zaszła tu fatalna omyłka sądowa i czy przypadkiem pod pręgierz nie zawleczono... całego narodu? Tak jest! Zarzut, wymierzony ręką gorliwca w sutannie, wysoko ponad głową endecji godzi w najpierwszą zasadę polityki narodowej świeckiej, a więc w przewodnią myśl każdego żywego narodu.

„Paskudnej herezji" hołduje cały świat od trzech nieomal stuleci. Od roku 1648-go, kiedy pokój Westfalski kładzie podwaliny nowoczesnego Prawa Narodów, państwa naprzód protestanckie, później katolickie zaczynają powodować się wyłącznie własnym interesem świeckim; wyjątek stanowią może dwa narody: hiszpański i polski; nie wyszło im to na dobre...

7.

Trzeba dalibóg sporej... odwagi, której niemożna nawet nazwać odwagą cywilną, by w czasach obecnych i w dzisiejszych naszych warunkach, czynić wyrzuty któremukolwiek stronnictwu polskiemu, że śmie stawiać interes Narodu wyżej od interesów katolicyzmu...

Czyżby istotnie sądził w grubej swej niewiedzy duchowny publicysta *Słowa*, że tylko endecja kieruje się tą wszeteczną zasadą? A niechby nam pokazał jedno takie na ziemi polskiej stronnictwo, któreby miało smutną śmiałość wyłamania się z owej «paskudnej herezji» !!!

Wiele, bardzo wiele moglibyśmy zarzucić kierownikom endecji, różnimy się od nich nieraz w zasadniczych i taktycznych kwestjach, ale łączy nas nierozerwalną więzią «paskudna» właśnie «herezja». Niewątpliwie stronnictwa dem.-narodowe oddałoby bez wahania świecką władzę Papieża za skromny samorząd polski; mybyśmy to również uczynili, a mamy wszelkie powody mniemać, że nieinaczej by

nawet postąpiło stronnictwo «polityki realnej» — ba! nawet projektowana dawniej partja «narodowo-katolicka» musiałaby zrobić to samo, żeby nie zadać kłamu swej nazwie!..

8.

«Paskudna» tedy «herezja» wcale nie jest wyłącznym udziałem polityków endeckich, obejmuje bowiem wszystkie stronnictwa wyznające program narodowy i z tym faktem pogodzili się chyba bardziej rozgarnięci przedstawiciele kleru.

Pisarz duchowny ze *Słowa* nie należy widać do tej kategorji, co jest niewątpliwie okolicznością łagodzącą. Trzeba bo dużej.. prostoty czy też roztargnienia, żeby nie widzieć różnicy pomiędzy partją polityczną, a zakonem czy bractwem, podległem kontroli duchownej; zarzut «herezji» czy «modernizmu» wogóle nie może być stosowany do zrzeszeń świeckich, tylko do osób duchownych, podległych dyscyplinie kościelnej; coprawda, gorliwością swą w tropieniu intrygi masońskiej, niczym słynni *Domini canes* (psy Pańskie) mogli byli publicyści *Gazety Warszawskiej* pomieszać wszelkie szyki i zasłużyć na to, by ich traktowano jako niższych funkcjonarjuszów Kościoła.

9.

Dziwnym zrządzeniem losu tak się złożyło, że w tym samym czasie, kiedy miarodajny widać przedstawiciel naszego kleru piętnował patrjotyzm polskich stronnictw narodowych mianem «paskudnej herezji» — ukazał się w *Now. Wremi* artykuł p. t. *Znaczenie polityczne kościoła w Polsce*, gdzie między wielu innymi fałszami powiedziano, że od powstania 63-go roku «samowiedza narodowa polska ześrodkowała się w Kościele»...

Niesprawiedliwy ten zarzut dotyka boleśnie nasze duchowieństwo, które niczym sobie nie zasłużyło na takie niesłychane podejrzenie.

Niechaj mu jednak pociechą będzie myśl, że tylko nienawiść do katolicyzmu i zła wola pismaków ze sfory Suworina mogła podobnie zjadliwe brednie podyktować. Wszyscy jednak wiedzą dobrze, co sądzić o zasługach i uczuciach narodowych naszego kleru, w którym nieliczne, niestety, wyjątki potwierdzają ogólną regułę.

ORJON.

Echa Prawdy.

I. Organizacja wyznaniowa. II. Zaraniarzom żenić się nie wolno.

I. Etyka żydowska ma na widoku wyłącznie dobro swego narodu; umysł żydowski nie zna objektywnych sprawdzianów prawdy, to też ilekroć *Nowa Gazeta* sławi tryumf sprawiedliwości, możemy być pewni, że zaszedł fakt dla Żydów korzystny, ilekroć zaś wytyka «zjawisko patologiczne, największego opłakania godne», czytelnicy! możecie być przekonani, że Izraelowi się coś nie powiodło...

Nie powiodło mu się mianowicie w Tow. Kred. m. Warszawy, gdzie na wyborach współzawodniczyły dwie listy: żydowska i polska, przyczym zwyciężyła ostatnia.

Ze szpalt *Nowej Gazety* pociekły wnet strumienie łez, a p. Kempner potępił «organizowanie się wyznaniowe»...

Potępił więc — powiecie — żydostwo, które przecież organizuje się wyznaniowo w obliczu ludzkości już lat parę tysięcy i w którym więź religijna jest tak potwornie silna, że wypacza wszelki stosunek do ludzi i do idei, chwalonych albo potępianych jedynie z punktu widzenia interesów żydowskich.

Ale nie! Pan Kempner tej «organizacji wyznaniowej» nie tyka. Przeciwnie: otacza ją serdeczną pieczą, gromy zasie potępienia miota jedynie na taką «organizację wyznaniową», która «wypiera stowarzyszonych Żydów bez względu na ich osobiste kwalifikacje...»

Tu dopiero widzi p. Kempner «zjawisko moralne wprost patologiczne i największego opłakania godne» i tu dopiero boleśnie wyczuwa «obrazę sprawiedliwości społecznej...»

Charakterystyczne to stanowisko może nas jedynie utwierdzić w przekonaniu, że jest p. Kempner, jako zamaskowany acz niezbyt udolny *champion* sprawy żydowskiej, niezmiernie daleki od objektywizmu i najmniej nadawać się może na rozjemcę, któremu by zaufać można.

Natomiast, gdziekolwiek interes żydowski ściera się z polskim — a dzieje się to na każdym niemal kroku — zawsze znajduje p. Kempner wymówkę na korzyść pierwszego.

Spotkał go też afront zupełnie zasłużony, gdy z różnych stron podano w wątpliwość osobiste jego kwalifikacje na kierownika działu ekonomicznego spraw polskich w Wielkiej Encyklopedji Ilustrowanej. Powie p. Kempnnr, że to znów «zjawisko patologiczne», lecz ogół innego będzie zdania.

Kto kieruje się wyłącznie probierzem korzyści «ludu wybranego», ten chyba nie zasługuje na

zaufanie ze strony wydawców i czytelników polskich i najmniej jest już powołany do przedstawiania polskiej polityki handlowej w dobie naprężenia stosunków polsko-żydowskich na tym właśnie polu.

Powie też może p. Kempner, że kierujemy się tu «względami konfesyjnymi», co znowuż dziwnie w jego ustach wygląda, lecz ostracyzm, przeciwko niemu skierowany, podyktowany został wyłącznie realną troską narodową: przecież pisząc o handlu polskim w czasach dawniejszych i obecnie, redaktor *Nowej Gazety* z pewnością część prawdy niemiłej dla żydów zatai, a natomiast czytelnikom polskim podsunie, może bezwiednie, szereg rad i praktycznych wskazówek, wielce korzystnych dla... wybranego znowuż narodu.

II. Zaraniarzom żenić się nie wolno, taki przynajmniej ustala się punkt widzenia wśród duchowieństwa kieleckiej djecezji...

Pewien czytelnik *Zarania*, Jan Tabor, zamierza wstąpić w związki małżeńskie z Kruszynianką.

Nowożeńcy zgłaszają się do proboszcza swej parafji w Kozłowie, księdza Podmagórskiego, przystępują do spowiedzi, dają na zapowiedzi. Po dwóch zapowiedziach ksiądz obwieszcza z ambony, że trzeciej zapowiedzi nie ogłosi, póki młoda para nie odrzeknie się *Zarania*. Narzeczony zgłasza się do konsystorza innej djecezji i tam go objaśniają, że niema w prawie kanonicznem ani jednego paragrafu, któryby dozwalał wstrzymać zapowiedzi z tej racji, że ktoś czyta takie czy inne pismo.

Ani w przyczynach wzbraniających małżeństwo, ani w unieważniających takowe, katechizm o czytelnictwie nie wspomina, co jest może nawet bardzo niedogodne dla tych par małżeńskich, które z trudem wyszukują punktów do rozwodu. Jakaż by to była prosta rzecz: zaprenumerować *Zaranie* i zerwać uprzykrzone więzy!

Tabor nie jest pierwszym ani może ostatnim narzeczonym w Kieleckiej dycjezji, któremu w drodze do kobierca ślubnego stanął zaporą dylemat: żona czy *Zaranie*? Nie każdy jednak silił się ten dylemat rozwiązać; znalazł się i taki, co go wolał ominąć, tj. w okresie przedślubnym porzucił *Zaranie*, a zaprenumerował je zaraz na nowo po weselu.

Trudno dociec, jaki jest cel podobnych szykan. Czy mają one ludzi uczyć obłudy, czy narzucać im celibat i związki „na wiarę, czy obronić kraj przed przeludnieniem Zaraniarzami? Jakże bezsilnym czuć się musi kler wobec nowych prądów, jeśli ucieka się do takich wybiegów dla zatamowania ich!

M. DĄBROWSKA.

O Polsce nad Tamizą.

Zdarzyło się tak, że dwie kobiety mówią dziś Anglji o Polsce: p. Laura Alma Tadema i p. Katarzyna Małecka.

Dwe odrębne organizacje psychiczne, dwa różne środowiska — dwie rozmaite dole.

P. Almy Tademy miłość do Polski jest z dziedziny rzeczy metafizycznych niemal i owianych czarem uroczej rzadkości.

P. Alma Tadema została przyjaciółką Polski — jak ją tu pospolicie nazywają — a ja więcej powiem — została Polką z wyboru.

Ta wielka z kultury ducha i w najwyższej arystokracji angielskiej ustosunkowana pani — wybrała Polskę na swojej duszy ojczyznę. Dobrowolnie zamieniła kwietną, szczęśliwą i potężną Anglję na kraj mogił, nędzy i poniżenia. Panny K. Małeckiej polskość jest mniej metafizyczna, bardziej ziemsko usprawiedliwiona. Ojciec jej był Polakiem i politycznym emigrantem. W małym domku na opalowym morskiem wybrzeżu w Folkestone żyła tradycja polska, która przejęła głęboko romantyczną duszę dziewczynki. Tak mocno — że Katy Małecka stała się Polką bez zastrzeżeń i w Polsce zamieszkała. Niestety spotkały ją tam znane wszystkim przygody. Gdy Alma Tadema poznawała Polskę niejako od góry, — Katarzyna Małecka poznawała ją od tego poziomu, gdzie się zaczyna ciężka walka o byt, rozjaśniona tylko ideowemi dążeniami — gdzie się zaczyna życie pełne niebezpieczeństw na scieżkach najniewinniejszych — gdzie inteligencja krwawo zapracowany grosz oddaje bez wahania na cele publiczne, gdzie lud chce czegoś więcej, niż zachwytów nad jego naiwną pierwotną sztuką.

P. Małeckiej przystąpienie do narodu polskiego pomnożone jest w swej ważności przez fakt, że po wszystkiem co w Polce niezasłużenie przeszła — wraca ona do kraju swego ojca — do swej dosłownej *ojczyzny*. Tego niejeden Polak rdzenny w Polsce wychowany nie kwapi się uczynić.

Obie te kobiety, jak się rzekło, wedle możności i sposobności zapoznają Anglję z Polską.

Niestety, działalność p. Almy Tademy odbywa się pod ciągłą osłoną Narodowej Demokracji tutejszej, zdaje się, i krajowej. Dla tych ludzi nawet niepospolite piękno wewnętrzne ma o tyle wartość i cenność, o ile może służyć ich partyjnym celom.

Dlatego też nie widzimy p. Almy Tademy tam, gdzieby można istotnie z dumą stanowi-

sko polskie wobec Anglji zaznaczyć — i o wartości istotnych swego narodu dążeń Anglję współczesną przekonać — ani tam, gdzieby nożna życie tutejszej kolonji spotężnić — nadać mu mężną postawę narodowego odłamu, odłamu, który miałby swój własny dom polski, i czuł za sobą siłę narodu jeśli nie państwa. Tutejsze żywioły N. Demokratyczne i pokrewne im usiłują z kolonji polskiej zrobić coś w rodzaju beznarodowego stronnictwa katolickiego, które u kardynała Westminsteru i u angielskich katolików szuka poparcia. — Usiłują uczynić zeń stronnictwo bliższe katolikom obcej narodowości, niż rodakom innych przekonań lub wyznań. Tę działalność popiera Alma Tadema w najlepszej i najpiękniejszej wierze, z chęcią wyzyskania angielskiego katolicyzmu dla sprawy polskiej, co sprawia, że trudno mieć do niej żal i niechęć z tego powodu.

Jednem z ostatnich p. Almy Tademy polskich na angielskim gruncie usiłowań — było urządzenie na tutejszym bazarze angielskiego katolickiego sierocieńca — polskiego kiosku.

Było w tem równie dużo wzruszającej zapobiegliwości serca i pięknej zawsze pamiętającej chęci — ile, mojem zdaniem, chybienia celu.

Zdaje mi się że o owym kiosku w prasie angielskiej znacznie mniej pisano niż w prasie polskiej, choć przecie dla Anglików był urządzony.

Nietylko jednak ze względu na chybiony skutek (co nie jest żadną winą) nie wydaje mi się ów polski kiosk pomysłem szczęśliwym, ale i ze względu na zasadę.

Mojem zdaniem, zapoznawać Anglję z Polską, poczynając od sztuki ludowej, to znaczy stawiać nas odrazu wobec Anglików, którzy i tak inne narody uważają za „trochę dzikie" — na poziomie różnych pierwotnych plemion, do których warto nawet pojechać, by zobaczyć na żywych ludziach te kolorowe szmatki.

P. Małeckiej działalność jest innego rodzaju.

Wydała ona książkę p. t: „Servd from Siberia", która jest opisem wiernym i silnym stosunków, panujących dziś na ziemiach b. Rzeczpospolitej. Książka apeluje do świadomości ogółu, a nie jedynie do uczuć garści angielskich katolików. Ponadto p. Małecka miewa odczyty o Polsce. Wygłosiła ich już zdaje się 80 po całej Anglji — i słuchają jej *tysiące* ludzi. Czasem odbywa się to w halach kościelnych w niedzielne popołudnia. Niby proste kazanie o głębokiej krzywdzie, płynie ta opowieść o Polsce, intonowana hymnami i modlitwą zebranych. Opowiadanie p. Małeckiej jest proste, powściągliwe, dokładne, bez rozżalonych skarg i apelacji do współczucia — tembardziej przeto wstrząsające.

* * *

Abstrahując się od różnych przekonań — powiedzieć możemy, że p. Alma Tadema i pani K. Małecka są dla serca polskiego otuchą. Są świadectwem niepożytej siły przyciągającej, jaką promieniuje z siebie naród nawet tak sponiewierany jak polski.

Są to dwie kartki tej cudownej romancy, której dźwięczny rozdział opowiedział nam Żeromski w dziejach Rozłuckiego.

Przypominają nam one swym kontrastowym urokiem odwrotne tej romancy karty — zapisane przez tych stokroć liczniejszych, którzy nędzę i słabość narodu utwierdzają — wyrzekając się ojczyzny i jej doli, i — swojej za tę dolę odpowiedzialności.

A wysiłki tych dwóch kobiet w sprawie propagowania idei polskiej w Anglii? I tych wysiłków rezultaty? —

Trudno je dziś przesądzać. Jeśli prawdą jest, że żaden wysiłek nie ginie...

* * *

Naogół rzec można, że w naszych usiłowaniach przypomnienia się Europie i nakazania jej wiedzy o Polsce tkwi nazbyt często niewspółmierność.

Godność polska często na szwank w nich jest narażona mimo najlepszych chęci, a skutek mikroskopijnie mały. —

Bo trudno jest wytłomaczyć państwom i narodom, państwa swe jako warownie praw miłującym — iż wart jest zastanowienia naród, który istnienie bezpaństwowe już do ideologji swej wcielił. Trudno też wymagać uznania czy współczucia od innych narodów, jeśli my sami zdobywamy się tylko na taki honor i współczucie dla naszych nieszczęść, „na jakie nas stać" oficjalnie, a więc na żadne. Nie.

Trudno wymagać, by jakikolwiek naród uczuciowo rozstrzygnął sprawę polską w kierunku ostatecznej sprawiedliwości i swobody, gdy my sami wahamy się, czy los nasz w tym kierunku rozstrzygać.

To też jeśli chodzi o jakąś celową i planową akcję polską zagranicą, to może ona mieć charakter, znaczenie i skutki tylko wtedy, jeśli będzie świadectwem, że Polska nie rozstała się z dążeniem, które ją w rzędzie zachodnio-europejskich narodów stawia.

GROMICZ.

Czy są w Polsce — socjaliści?

Z CYKLU: «ZNAKI ZAPYTANIA»

1.

— Dziwne pytanie! powie, wzruszywszy ramionami, niejeden czytelnik. — Czy są w Polsce socjaliści?

Ależ — co niemiara! Nowa ewangielja Karola Marxa, którą Zachód sceptyczny przesiał przez gęste sita przeróżnych zastrzeżeń, u nas pozyskała przecież tłumy równie gorliwych, jak bezkrytycznych wyznawców. Był czas — nie tak to dawno — kiedy „socjalistami" byli w Polsce wszyscy... Może dlatego właśnie próżnobyś teraz, czytelniku, ze świecą szukał tu — socjalizmu.

2.

Był bowiem ten wyraz jakby pustym lamusem, gdzie składano wszystko, co kto miał pod ręką: nadzieje patrjotyczne, urazy osobiste, zwarzonych uczuć „kwiaty", żarłoczny apetyt głodnego troglodyty i żółciową nienawiść świeżego wyzwoleńca z ghetta, naiwne zachwyty pensjonarek i papuzi snobizm próżnujących żółtodziobów, cierpkość starych panien, pokrzywdzonych tym właśnie, że nikt ich skrzywdzić ni pogwałcić nie chce... A nasi „socjaliści"? Dość poskrobać ich zlekka ostrzem krytycznej analizy, by z pod wierzchniej warstwy cudzych nalotów dogmatycznych, frazesów wiecowych i nałogów słabego myślenia — odsłonić rzeczywiste tło gruntownych usposobień i dążeń, bardzo mało mających wspólnego z nauką św. Karola.

3.

Może tkwi tam pośrodku grono starych dzieci z duszami apostołów, święcie przekonanych, że ten rozgardjasz, co ich otacza, to socjalizm czystej wody, a stada rzeźwych insektów, skaczących powszędy, to nieskazitelni w uczuciach swych i środkach prorocy lepszego jutra.

Nie chciałbym tych nastrojów burzyć, skoro są komuś potrzebne do życia; swoją drogą jednak trzeba zrobić porządek z humbugiem, wrzaskliwie po ziemiach polskich obnoszonym.

Niema w Polsce socjalistów prawdziwych! Luźne i różnorodne watahy, spędzone do kupy i opatrzone tą nazwą, składają się zazwyczaj z osób nietylko obcych sobie, ale często wrogich, i z niemałym zdumieniem widzą wzajemne swe sąsiedztwo. Zaciągi te, w różnych warstwach społecznych i różnych zakątach kraju czynione, dzielą się na kilka głównych kategorji i mnóstwo pomniejszych odmian, których wywyczerpać niesposób.

4.

I. *Socjaliści-automaty.* O nich to powiedział Brzozowski, że zamiast mózgu noszą w głowie aparat zegarowy, nastawiony raz na zawsze według „materjalizmu dziejowego". Dusze drewniane, oschłe serca i charaktery liche. Niewiele z nimi zachodu: dość nakręcić automat, objuczyć niby wielbłąda bagażem niemieckich broszur, a będzie kroczył cierpliwie w kierunku wskazanym. Wielbłąd zresztą na pustyni jest bydlęciem bardzo pożytecznym: i socjaliści-automaty przydaliby się może, gdyby świat był pustynią; i kto wie, gdyby im na to pozwolić, zmieniliby świat w pustynię, żeby móc swą pożyteczność okazać.

Tymczasem głoszą w kółko szereg oklepanych apriorycznych twierdzeń, nie zadając sobie najmniejszego trudu, by sprawdzić je lub zastosować. Automatyczny taki socjalista posiada kilka szuflad, a w każdej spoczywa gotowy i ponumerowany szablon. W tych warunkach myślenie jest pracą zbyteczną, to też niemasz nigdzie równego komfortu w bezmyślności, chyba — w Kościele. Jakoż, socjaliści-automąty są mlecznymi braćmi katolików-bigotów i często zerkają ku nim czule. Jak tamci tkwią wiecznie w kruchtach, zakrystjach, na wotywach, sumach, kazaniach, tak i ci wałęsają się wciąż po kongresach, zjazdach, konwentyklach partyjnych i latami całymi rozpamiętują słowa Plechanowa, Guesde'a czy Bebla.

II. *Socjaliści-scholastycy,* blizcy krewniacy poprzednich. Tamci przyjmują dogmat bez komentarzy, ci znów celują w egzegezie bardzo drobiazgowej. Nie siląc się wyjść poza kadry dogmatu, brzęczą w nich i hałasują jak muchy w pustej butelce. Umysły ciasne, skąpe, zaciekłe, drobiazgowe, gderliwe; dużo inkwizycyjnych skłonności; mnisi kaptur bardziej tym ludziom przystoi, niż czerwona czapka. Zgięci nad stosem foljałów, spisują benedyktyńskie prace na marginesach *Kapitału*, a między sobą toczą nieskończone, niezmiernie zawiłe i subtelne dysputy, których słucha gmin pobożny z rozdziawionymi usty.

Wywodzą się w prostej linji od scholastyków średniowiecznych, o których mawiano, że uczoność wśród nich bywa wielka, umiejętność nieznaczna. Gatunek dość niebezpieczny: gdyby mieli po temu możność, toby zdusili cały świat współczesny pod stosami bezwartościowej makulatury. Dzieła ich, prócz wielu pomniejszych, mają jedną wadę kardynalną: pisane są bez talentu i bez polotu. Socjal-scholastyk wypłasza i tępi wszelką myśl twórczą ze swego oto-

czenia; jak legendowy koń Atylli, gdzie stąpi nogą, tam czyni się pustynia.

Wśród niedojrzałej młodzieży socjalizm scholastyczny wielkie wyrządził spustoszenia, zagważdżając doktryną mózgi, jak dawniej w bitwach zagważdżano zdobyte działa. Że zaś czyniono te zdobycze wyłącznie pośród młodych pokoleń mieszczańskich, zadano więc burżuazji niemałą klęskę, bo głowy z dobrze nabitym ćwiekiem, jak armaty, nie są już do użytku zdatne. Z ludzi, tak chytrze okaleczonych, mogą być z czasem groszoroby nadęte i tępe; dobrymi obywatelami już nie będą.

Innej ponadto szkody współczesnemu światu nie wyrządzi socjalizm scholastyczny; rewolucja socjalna, którą straszy burżujów co naiwniejszych, napawa go zresztą samego przesądnym lękiem, bo — może wypaść inaczej, niż to przepowiedziano w komentarzach do Wielkiej Apokalipsy.

III. Jedną z głównych odmian tego kierunku jest *socjalizm talmudyczny*, operujący wypróbowaną metodą Miszny i Ghemary. Z wielkim zapałem krzewią go Żydzi, którym się zdaje, że posiedli wszystkie arkana „djalektyki" marksowskiej, gdy w istocie obracają się wciąż w rodzimym świecie bethamidraszów z ich specyficzną logiką i etyką, z podziałem na „czyste" i „nieczyste", z nienawiścią do „goimów" i kultem „delikatnego" rozumu, który uczy, jak w każdej chwili można wykrętnym i „subtelnym" sposobem wywieść w pole każdego, kto nie należy do wspólnoty wyznaniowo-plemiennej.

Biegli w tej sztuce talmudyści wykażą czarno na białem, że kto się z nimi nie zgadza, ten jest albo prowokatorem, albo pogromczykiem.

IV. *Socjal-litwacy* tłómaczą na język praktyczny to, co talmudyści traktują w abstrakcji. Zawsze z hasłem „walki klas" na ustach, nie tracą nigdy z oczu interesów „narodu wybranego", albowiem są nieodrodnymi jego dziećmi.

Nieprzejednani, nieugięci wobec polskiego społeczeństwa, potępionego w czambuł, jako rozsadnik zacofania i klerykalizmu — stają „zasadniczo" w obronie każdego Żyda, widząc niecne zakusy antysemickie we wszystkich słusznych, pretensjach o lichwę, paserstwo, fałszerstwo i handel żywym towarem...

„Socjaliści" tego pokroju w zażyłych są zwykle stosunkach z plutokracją żydowską, skąd lubią wyławiać posażne jedynaczki. Pełni czułości dla swojskiego konserwatyzmu, który pobija przecież wszystkie rekordy zacofania, z pianą na ustach bronią najgrubszych zabobonów ghetta, krzycząc: gwałtu, pogrom! gdy. ktoś odezwie się bez respektu o Szulchan-Aruchu.

Rozpanoszone w dobie rewolucyjnej socjallitwactwo przyczyniło się stokroć skuteczniej do upadku i dyskredytu „ruchów wolnościowych" niż najsurowsze represje. Później, gdy wykryto wspomniane koligacje i związki intymne w Izraelu, odrzuciło wielu zbyteczne już maski i zaciągnęło się jawnie w szeregi bojującego żydostwa; inni tkwią jeszcze w polskich obozach „lewicowych", doskonale zewsząd widziani i darzeni zrozumiałą nieufnością i niechęcią.

V. *Socjal-patrjoci*. Najstarsza formacja w t. zw. socjalizmie polskim, bo sięgająca czasów emigracji paryskiej po roku 1831-ym i tkwiąca po dziś dzień w tradycjach szlachecko-powstańczych.

Znienawidzeni przez socjal-litwaków i nienawidzący ich wzajem, ubierają w czerwień socjalizmu ideał narodowy polski, podobnie jak tamci w przebraniu tym przemycają żydowskie cele narodowe.

Chłopy walne, do wypitki i do wybitki, tęsknią, po staremu, do konia i flinty, czasem pisują wcale niezłe powieści romantyczne; niezbyt w egzegezie biegli, z całej doktryny marksowskiej, która ich zresztą mierzi, wybierają z mozołem budulec na gmach dla wymarzonej Polski „ludowej" czy też „robotniczej". Ojczyzna ich celem, socjalizm jedynie środkiem.

Pokutuje wśród nich dusza sarmacka, rogata i rzewna, popędliwa i marzycielska zarazem; pierwiastek kobiecy góruje nad męskim, nawet u leaderów, co to wielbią dawne „mocarne witezie" i miękkiemi usty trąbią pobudkę bojową.

Główną ich obawą jest przewaga w czerwonej międzynarodówce żywiołów socjal-litwackich, z którymi zajadłe toczą walki. Odgłosem tych walk rozbrzmiewały przez lat wiele obozy skrajnej lewicy.

O ile socjal-litwacy są niemal wszyscy urodzonymi kupcami, o tyle znów socjal-patrjoci lgną do żołnierki. To też gdy tamci zostają z czasem aferzystami, co zresztą nie wpływa bynajmniej na zmianę ich przekonań tudzież wrodzonej skłonności do nieprzebierania w środkach, ci znów, niech tylko zachmurzy się gdzieś na Bałkanach widnokrąg polityczny, wnet, cisnąwszy *Kapitał* do djabła, mustrują się ochoczo.

D. n.

Skry.

Rimbaud nazajutrz po napisaniu «Statku pijanego» obudził się — nieśmiertelnym.

Iluż modnych poetów pewnego pięknego poranku budzi się — nieboszczykami!

***

J. KRZESŁAWSKI.

Ruch staroruski — — w Galicji.

Ruch staroruski w Galicji, inaczej zwany moskalofilskim, znowu dał znać o sobie z powodu zjazdu tego stronnictwa we Lwowie, oraz głośnej sprawy w Marmarosz-Sziget.

O Rosjanach w Galicji jeszcze niedawno nikt uie słyszał. Przed pół wiekiem pojęcie Rusina nawet nie było jeszcze ściśle ustalone i wielu mogło o sobie powiedzieć z pewną słusznością, że są *natione Poloni, gente Rutheni*. Wzrost ukraińskiego poczucia narodowego zmiótł z widowni tę kategorję ludzi, choć i dziś jeszcze spotkać można niejedną jednostkę o chwiejnym poczuciu narodowym, o której przynależności do tej czy innej narodowości przypadek decyduje.

Narodowość ruska (a według dzisiejszej terminologji ukraińska), oddawna uznawana w dokumentach rządowych austrjackich, w miarę swego rozwoju i swych postępów na polu kultury zyskiwała sobie coraz szersze prawa polityczne, zmuszając do liczenia się ze swym istnieniem nawet tych, ktorzy do niedawna naiwnie powtarzali, że narodowość ruska jest wynalazkiem biurokracji austrjackiej.

Inaczej zupełnie przedstawia się sprawa z ludźmi, uważającymi się za Rosjan. Nie znały ich zupełnie dzieje Galicji, i dopiero w niedawnych czasach wypływają na wierzch ludzie, przyznający się do związku z kulturą wielkorosyjską. W bardzo wielu wypadkach ta nieoczekiwana samowiedza rosyjska była wynikiem zewnętrznej agitacji, przy której posiłkowano się argumentami brzęczącymi.

Rozwijało się „moskalofilstwo" powoli i spokojnie aż do chwili, gdy rozwój ten zaczął stawać w jaskrawej sprzeczności względem programów odrodzeńczych Rusinów. Rusini zagrożeni niespodziewanie w swym stanie posiadania ze strony najmniej oczekiwanej, wystąpili energicznie do walki z ruchem staroruskim i załatwiliby się z nim może szybko i skutecznie, gdyby ten nie otrzymał w krytycznej chwili odsieczy. Z odsieczą tą przybyli — narodowi demokraci. Ironja losu sprawia, że ci sami ludzie, którzy przed rokiem 1905 zionęli nienawiścią do wszystkiego, co rosyjskie, nie wyłączając nawet twórczych i odrodzeńczych pierwiastków w życiu rosyjskim, teraz przyczynili się do rozwoju na galicyjskim terenie płonki moskalofilskiej w okazałą roślinę.

Myśl popierania żywiołów staroruskich zrodziła się najpierw w głowie Jana Popławskiego, który lekkomyślnie mniemał, że, działając w myśl zasady „klin klinem", osłabi ukraińców, uważanych przezeń za nieprzejednanych wrogów Polski. Ideę pionierów egoizmu narodowego przejęli skwapliwie przedstawiciele egoizmu klasowego, podolacy wschodnio-galicyjscy, dla których walka z żywiołem ukraińskim miała już podkład zupełnie realny, a mianowicie występowania w obronie interesów własności obszarniczej przeciwko interesom małorolnej ludności rusińskiej. Myśl tę zaszczepiono następnie autonomicznemu rządowi, znajdującemu się w stanie ścisłej zależności od podolaków, łącznie z narodowymi demokratami, zwłaszcza w tym czasie, kiedy żywioły te przeważały w Sejmie i w Kole Polskim Rady Państwa. Namiestnik Andrzej Potocki, popierał całą siłą ruch moskalofilski, nie licząc się z oburzeniem od wieków osiadłej ukraińskiej ludności. Dzięki temu, ruch z każdym rokiem wzmagał się, przenosząc się z okręgów, graniczących z Rosją, do okolic podkarpackich.

Popławski, widząc, że moskalofilstwo wybujało ponad miarę, grożąc nietylko ukraińskiemu, lecz i polskiema żywiołowi, w ostatnich latach swego życia zaczął się wycofywać z zajętego przez siebie stanowiska. Lecz towarzysze i spadkobiercy jego nie czuli żadnych skrupułów i szli dalej przez utorowaną drogę.

I niewiadomo, do czegoby doprowadziła ta krótkowzroczna polityka, gdyby nie energja ukraińców, którzy zabrali się energicznie do walki z żywiołem staroruskim; walki, prowadzonej nieraz z wielkim sukcesem.

Obok energji ukraińców stanowczym czynnikiem, zmierzającym do osłabienia ruchu moskalofilskiego, stała się działalność rządu austrjackiego. Rząd ten nie mieszał się z początku do sporów narodowościowych na pograniczu i dopiero obfitość afer szpiegowskich pobudziła go do zajęcia się pilnie tą sprawą. Nastąpiły aresztowania osób podejrzanych.

Represjom ulega nie umiarkowane skrzydło staroruskie, znajdujące się pod komendą d-ra Korola i uznające jedynie wspólność kultury rosyjsko-ukraińskiej, bez tendencji do połączenia Galicji z państwem rosyjskim, lecz drugie skrzydło, które reprezentują Markow i Dudykiewicz. Są to otwarci zwolennicy Rosji.

Rzecz prosta, że represje przyczyniają się do zachmurzenia politycznego horyzontu, budząc niepewność co do przyszłości. Jakakolwiek ona będzie, musimy domagać się od samych siebie ustalenia naszego stosunku do kwestji ukraińskiej, która musi być rozwiązana zgodnie z interesami i potrzebami ludu polskiego oraz ukraińskiego. Interesy te są wspólne, a kto tego nie pojmuje, ten gotuje społeczeństwu polskiemu w Galicji cios niebezpieczny.

D-r WACŁAW ORŁOWSKI.

Towarzystwo braci śpiącej.

Korzystam z gościnności udzielonej mi na łamach *Prawdy*, by zabrać głos w sprawie prasy naszej i stowarzyszenia p. n. „Towarzystwo literatów i dziennikarzy". Już od dłuższego czasu nosiłem się z myślą wypowiedzenia w tej sprawie, bodźca dodał mi artykuł p. Pieńkowskiego p. t. „Partyzantka społeczna" (*Tyg. Ill.* Nr 6 z dn. 7 lutego 1914 r.) P. St. Pieńkowski w swym artykule woła: „Trzeba zmusić zawody i stowarzyszenia do jawności, trzeba je zmusić do otwarcia drzwi!" — „wszelkimi siłami należy postarać się, aby Tow. liter. i dziennikarzy zajęło się sprawą podwyższenia poziomu prasy naszej, a i w samej prasie należy w tym kierunku podjąć usiłowania".

Rok 1914 pod dobrą wróżbą się zaczął, aby i dalej szedł w tym kierunku, odczyszczenia, restaurowania, zabudowywania i t. d. — własnego gospodarstwa społecznego na polu stosunków społecznych. Rewizja tu jest konieczna. Czas już najwyższy dotknąć tego pseudo-mocarstwa: prasy naszej warszawskiej.

Bez obawy coprawda bierzemy pióro do ręki, potęga ta — prasa nasza, już dawno wyzbyła się wszelkich cech siły, zmarniała, skarlała — jak słusznie twierdzi autor artykułu „Partyzantki społecznej": obecnie poziom umysłowy czytelników *przewyższa* i góruje nad poziomem prasy, co jest rzeczą smutną, lecz prawdziwą.

Czas więc najwyższy tknąć tego zła i zająć się kuracją prasy. Pospędzać z placu hasające ciury obozowe, szeregowców, najmitów, poddać ich ćwiczeniom, wdrożyć do karności umysłowej, nauczyć myśleć, zmusić do kształcenia i awansować dopiero w stopniach na oficerów i dowódców prasy. Nie pozwalać przemawiać ludziom bez dostatecznego na to przygotowania do społeczeństwa, które istotnie przewyższa poziomem umysłowym swą prasę.

Tak się bowiem ułożyły stosunki, że prasa zrzekła się dobrowolnie stanowiska wychowawcy, doradcy, nauczyciela — a stała się przystanią, zatoką spokojną dla wielu niedołęgów, nieuków, którzy, prócz siana i wody na inny pokarm dla swoich czytelników zdobyć się nie umieją. Czasami zabłąka się jakiś artykuł, który staje się tak rzadkim a pożądanym pokarmem dla dojrzałego i inteligentnego czytelnika; lecz artykuły takie należą do wyjątków.

Nie chodzi mi o to lub inne stanowisko partyjne, ale o powagę, wartość artykułu. Nie rzucam oskarżenia na wszystkich, bo nie należę do tak licznej niestety partji histeryków polskich, którzy w każdej sprawie gotowi są wywiesić najczerwieńszą chorągiew, by za chwilę na znak lojalności zastąpić ją białą. Więc niech mnie nie posądza Tow. literatów i dziennikarzy o niechęć, zwróconą ku całej prasie, bo wiem ja dobrze, kogo mam cenić, kogo szanować, kogo czcić — a kogo nie uznawać, nie dostrzegać, nie wiedzieć, że jest!

I nie pomogą tu starania Tow. literatów i dziennikarzy, aby rehabilitować teraźniejszość prasy i dziennikarzy wobec przyszłości, przez tworzenie archiwum, w którym się znaleźć mają fotografje, podobizny i artykuły naszych „nieśmiertelnych" warszawskich, bo zaprawdę nie potępi przyszłość szanownego Tow. liter. i dzien. za to, że pozbawiło ją możności oglądania rysów naszych „sław" domorosłych.

Kiedyś w przyszłości, za lat, powiedzmy, sto i bez tego wysiłku Towarzystwa, znajdą się w rękach ogółu podobizny Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej i wszystkich tych, co nie tak starannie dbali o zabezpieczenie sobie sławy pośmiertnej w archiwach Tow. liter. i dziennikarzy.

Tknęliśmy tej sprawy mimochodem, by zaznaczyć jedynie, jakie są wyniki działalności Tow. literatów i dziennikarzy na przestrzeni lat dwóch t. j. czasu, w którym jako członek mam zaszczyt należeć do tej organizacji. Nie! nie pominę milczeniem i innych zasług, w których odzwierciadla się działalność Towarzystwa liter. i dzien., jak urządzenie maskarady, „Kuligu Staropolskiego" w Salach Redutowych, jak deklamacji, zabaw tanecznych, monologów, kupletów, i t. d. Owocna to działalność, i nie mam nic przeciwko niej, owszem pochwalam, wzywam nawet wszystkich, by tańczyli, deklamowali, śpiewali i t. d. Ale niech nie będzie to działalność jedyna.

Prawda! — zapomniałem: w bieżącym roku sekcja teatralna zaznaczyła się urządzaniem „konferencji teatralnych" oraz w programie pomieściła wydanie rocznika poświęconego sprawom teatralnym, naogół jednak trudno mi jest czymś jeszcze zbogacić obraz działalności Towarzystwa.

Drukowanych sprawozdań niema, które by poinformowały zainteresowanych w tej tak ważnej sprawie, zachęciły nowe siły, do wstąpienia do Tow. liter. i dziennikarzy. Zwrócić chcę jeszcze uwagę, że nie postarało się Tow. zaspokoić nawet najelementarniejszych potrzeb swych członków, przez skompletowanie czasopism polskich, nie mówiąc już o prasie rosyj-

skiej, wogóle słowiańskiej, a również o niemieckiej, francuskiej, angielskiej i t. d.

Co do biblioteki, to ta nie posiada katalogu według działów — a z katalogu kartkowego przekonać się łatwo, że znaczna część książek jest treści belletrystycznej.

Przy takich warunkach, Tow. lit. i dziennikarzy nie kwalifikuje się do podniesienia poziomu prasy naszej: przedewszystkim bowiem powinno zacząć od siebie. Sprawa ta jednak widocznie jest niesłychanie trudna dla Towarzystwa.

W ten sposób wytwarza się sytuacja taka, że niedouczeni literaci i dziennikarze przez należenie do Tow. Literatów niewielką z tego odnoszą korzyść, ci zaś, co ukończyli wyższe studja, żadnego pożytku w atmosferze Towarzystwa liter. i dzienn. nie znajdują. A szczególniej w Warszawie, gdy los skaże całowieka po opuszczeniu murów wyższego zakładu naukowego, do bytowania w tym mieście, to jedynie i jedynie książka pozostaje do dalszego pogłębiania i zdobywania wiadomości naukowych. Z zadowoleniem przecież słuchalibyśmy wykładów w Tow. Literatów — z dziedziny statystyki, ekonomji, polityki, nauk społecznych, socjologji i t. d. — bralibyśmy udział w seminarjach podobnego typu, posłuchalibyśmy odczytów nie tylko sił miejscowych, ale radzibyśmy byli ujrzeć literatów i redaktorów z Galicji i Poznańskiego, rosyjskich z Moskwy i Petersburga, francuskich i niemieckich i t. d. Jedyna to droga, by dać choćby najelementarniejsze podstawy wiedzy, potrzebnej do zajęcia się pracą pisarską.

Za granicą istnieją specjalne szkoły (naprz. w Japonji) mające na celu przygotowanie do zawodu pisarskiego.

Ale tak czynią narody kulturalne i świadome tego, że naogół poziom umysłowy czytelników nie powinien *przewyższać* poziomu prasy.

Sprawa to nie tak błaha: stać się może klęską społeczną, jeżeli nie zaradzimy jej w porę.

Wskazując na to, że Stowarzyszenie dziennikarzy i literatów nie ma żadnych po temu danych, by przyczynić się do podniesienia poziomu prasy, nie mam bynajmniej zamiaru występować przeciwko istnieniu tej tak potrzebnej w naszych warunkach instytucji, ale istotnie potrzeba zmusić ją zarówno jak i inne stowarzyszenia „do jawności, do otwarcia drzwi!"

Nie można myśleć o naprawie naszych stosunków społecznych, narodowych i kulturalnych, o ile nawet w granicach nas niekrępujących, nie potrafimy czy też nie chcemy zdobyć się na czyn, na pożyteczną pracę, śniedziejemy, pokrywamy się pyłem; — zdanie że „niema ludzi odpowiednich" jest mylne; ci ludzie są, ale to zwykłe u nas zjawisko, że najmniej odpowiedni zajmują miejsca istotnie odpowiednich. Wysuwają się na czoło zazwyczaj ludzie w Polsce nie energiczni, bez żadnej inicjatywy, przymiotów duszy, serca i charakteru, wiedzy, nauki i t. d. Całe życie nasze układa się w ten sposób, że najdzielniejszych odsuwa się, zatapia w mroku, nie myśli się o tym, by wynaleźć dzielnych, nowych ludzi — spożytkować ich dla dobra ogółu.

Należy podjąć w samej prasie energiczne usiłowania do podwyższenia poziomu prasy. Zaiste, jest to sprawa arcy-trudna. Bo trzeba zacząć od redaktorów i wydawców czasopism. Czyż nikt nie wie o tym, że są pisma, służące jedynie megalomanji redaktora? biedny czytelnik, którego to nic a nic nie obchodzi, musi wyczytywać, gdzie redaktor wyjechał, co robił podczas podróży, gdzie deklamował wiersze, gdzie i jak przemawiał, itd.

Czy to nie charakterystyczne, że skoro powstanie jekieś pismo — przypuśćmy poświęcone wsi, zaraz powstaje drugie jota w jotę z tym samym programem, a zaraz za nim trzecie — zupełnie jak sklepy z towarami bławatnemi, konkurencyjne... Ależ na litość boską, przecież nie idzie tylko o to „aby handel szedł", przecież dawniej praca redaktorska była pracą troskliwą, opiekuńczą dla dobra kraju, narodu, społeczeństwa.

Niewielu jest takich, co tak pojmują swoje obowiązki, że redaktor, kierownik pisma, to nie urzęd, nie godność, nie arena do popisów i reklam przed gronem widzów-prenumeratorów, ale obowiązek i służba publiczna.

Zazwyczaj bezwartościowość pisma, ratuje się błaganiem i apelacją do uczuć czytelnika w imię wspólności ideowej etc. etc. Już to pod względem reklamowania się i obietnic w prospektach doszliśmy do doskonałości: od tego się zaczyna i niestety na tem cały wysiłek polega.

***

Nie ufam niestety w uzdrowienie i podniesienie poziomu prasy naszej przez stowarzyszenie lub też przez samą prasę, trzeba tu koniecznego współdziałania czytelnika, który *przewyższając* poziomem umysłowym poziom prasy, solidaryzując się z lepszą jej częścią, zmusi w końcu prasę — by znalazła się na właściwym stanowisku!

L. CHOROMAŃSKI.

Krytycy i recenzenci.

Józef Weyssenhoff.

1.

Pisać o Józefie Weyssenhoffie jako o krytyku — to z pozoru zakrawa na złośliwość. Dlaczego nie o świetnym beletryście Weyssenhoffie, tylko o mniej świetnym — Weyssenhoffie-krytyku? Krąży bowiem i buja w lekkiem powietrzu warszawskiem przekonanie, że między temi dwiema dziedzinami pracy p. Weyssenhoffa istnieje przepaść niemal nie do przebycia. Jest to złudzenie.

Przepaści tu niema. Zato — jest uderzająca zgodność i podobieństwo: ten sam gatunek człowieka i tu i tam czuje, szemrze, zachwyca się, rezonuje.

2.

Bywają wypadki, że artysta, kiedy się wywnętrza jako krytyk, potępia te gatunki twórczości, które sam, jako twórca uprawia. I nieraz tylko w ten sposób dowiedzieć się można o tym buncie przeciwko samemu sobie, który w chwilach natchnienia milknie, lecz toruje sobie łożysko w refleksyjnych wylewach krytycznych. W tym rozdwojeniu jest zaród wszelkiej dramatyczności. Jeśli wrogość żywiołów, ścierających się w pisarzu, dosięga trwałego wysokiego napięcia, to powstaje tragiczny typ twórcy. Racine wyraził najdobitniej swój charakter twórczy w słowach: „Mon Dieu! quelle guerre cruelle, je sens deux hommes en moi". Weyssenhoff, jako charakter twórczy, stoi na przeciwległym biegunie; trudno o bardziej typowy przykład człowieka nie rozdwojonego, nie podminowanego parciem w dwie różne strony. Nikt może dziś w Polsce nie stoi dalej od dramatu: *jest to pisarz sielanek*. Weyssenhoff, jako twórca, jest zdumiewającym przykładem *stania na uboczu*. Straszliwy dysonans między zdobyczami genjusza myśli i techniki współczesnej — a techniką rządów nie budzi w nim nawet tych odruchów zamaskowanych, które występują w formie tęsknoty, niezadowolenia z siebie i innych objawów lirycznych.

Ten człowiek jednolity, ta natura artystycznie wrażliwa, lecz ograniczona brakiem poczucia przeczności fatalnej i nieuniknionej, kiedy zaczyna mówić, czy to jako beletrysta, czy jako krytyk, zdradza niebezpieczne własności krótkowidza, który widzi wybornie, lecz w kole o zbyt małym promieniu. Kiedy rozprawia z Anatolem o genjuszu (Tyg. Ill. r. 1909 str. 572) pomimo formy powściągliwej i wytwornej czuje się tu to samo dowcipkowanie, jakiem zabawiają się parobcy, przybrani świątecznie, na widok „cudacznie" ustrojonego człowieka z miasta lub dalszej okolicy. Pan Weyssenhoff ma zbyt wiele tego niebezpiecznego dla ducha zdrowia, które się kojarzy z fatalnem przytakowaniem wszystkiemu, w czem nas umieścić raczyła Opatrzność. Co dla innych jest formą przemijającą, dla p. Weyssenhoff jest — wiekuistością.

3.

Cóż jest ideałem tego pisarza? Dostatni dwór szlachecki, chłop rozgarnięty, piśmienny i *grzeczny* względem dziedzica. Tak ma być na wieki.

P. Weyssenhoff z pewnością nie czuje dreszczu zgrozy przy dokładniejszem przeżuwaniu tego ideału niebezpiecznie chińskiego. Naogół — rzeczy zakrzepłe nie budzą w nim żadnych odruchów wrogich, a rzeczy, które się dopiero tworzą i kipią, nie wywołują nic innego prócz pobłażliwego politowania.

P. Weyssenhoff nie rozumie ani walki ani zła: oto skutki braku żywiołów sprzecznych w tej naturze! Czemże jest zło? Obałamuceniem, zwichnięciem zdrowego zmysłu, spaczeniem, wreszcie cudzoziemszczyzną. Czem jest życie prawdziwe? Czuciem błogości, wylegiwaniem się na słońcu, sportem, turniejem, dobrą manierą, poczuciem hierarchji. Typowy przykład nierozumienia konieczności walki i jej wybuchu, znajduje się w *Rozmowach literackich* p. Weyssenhoffa w artykule *Najnowsza powieść historyczna* (Tyg. Ill. r. 1909 t. II. str. 994). P. Weyssenhoff krytykuje w tym artykule powieść Tetmajera „Maryna w Hrubego" i o Kostce Napierskim pisze:

„Szlachcic, nieprawy syn królewski, stał się hersztem zbuntowanych chłopów — to historyczne, ale mało wyraziste dla powieści Tetmajera. Odrazu podejrzanym i antypatycznym staje się ten „chłopski Messjasz", planujący chłopską rzeczpospolitą, nową religję polską, niezależną od Rzymu i t. p. gdy pierwszą pobudką jego działań jest zemsta osobista nad Herburtem i Sieniawskim. Szereg podstępów mniej rycerskich, jak przywłaszczanie sobie nazwisk i tytułów, fałszowanie uniwersałów królewskich i t. p., nie mogą przekonać czytelnika do wielkości sprawy, podjętej przez dość pospolitego awanturnika, którego jednak autor każe miłować ludowi. Więc i ten lud albo ślepy albo marny? A taki związek chyba nie zawiera się w zamiarze autorskim?"

Trudno o bardziej typowy przykład sielankowości. Tu Polska sielankowa wypowiada się o Polsce dramatycz-

nej. Niezrozumienie jest zupełne. Ucisk i fakt, że znalazła się jednostka energiczna, która wyzwala w chłopach energję buntu, według p. Weyssenhoffa nie wystarcza. Trzeba czegoś jeszcze. Czego? Oto czego:

Jeden z mających zamiar się zbuntować chłopów:

Kostko Napierski, czy masz świadectwo moralności od biskupa?

Kostka Napierski: Mam (wyjmuje z futerału pergamin z pieczęcią).

Chłop mający się zbuntować: Ha, to sprawiedliwość po naszej stronie! (pluje w garść) Chodźwa, młócić panów!

4.

Kiedy p. Weyssenhoff mówi, przemawia przez niego, powtarzam, Polska dworów i sielanek, otwarta, fizycznie zdrowa i prawa. P. Weyssenhoff jako krytyk nie jest wcale pozbawiony wartości. Jego czułość artystyczna i estetyczna wrażliwość mogą sprawić, że krytyka utworu, zbliżonego charakterem do sielanki, może być wcale niezła... Lecz niebezpieczeństwo rośnie w miarę, jak typ pisarza krytykowanego oddala się od typu sielankowego, a zbliża do typu tragi-dramatycznego, bo p. Weyssenhoff, jako idyllista, wszelkie rozdarcie i zatarg nieunikniony poczyna bagatelizować... Nic więc dziwnego, że hierarchja duchów w pojęciu p. Weyssenhoffa będzie inną, niż w pojęciu typu bardziej dramatycznego. Marja Konopnicka, naprzykład, stanie pod pewnym względem wyżej od Michała Anioła, a już bezwzględnie wyżej od Wyspiańskiego.

5.

Są ludzie, którzy słysząc tego rodzaju sądy, rozdzierają szaty z oburzenia i proponują *nakazywać uszanowanie* dla wieszczów i genjuszów, za pomocą terroru chcą wznosić naokół nich barjery i t. p. Czyżby „wieszcz" i „genjusz" byli tak słabi, że im potrzeba tego rodzaju kordonów zabezpieczających? Typ tego rodzaju krytyki, co p. Weyssenhoffa w stosunku do Wyspiańskiego, jest daleko więcej wart, niż kompilatorskie jąkanie się umysłu trwożliwego, który pod groźbą terroru i moralnego zgarotowania, rozkochał się na zabój w Wyspiańskim, choć sam doprawdy nie wie, jak to się stało. W krytyce p. Weyssenhoffa jest i sens i logika i konsekwencja. Marja Konopnicka wyższa od Wyspiańskiego dlatego, że bliższa do sielanki. Oto klucz do zrozumienia natury p. Weyssenhoffa i nie wydawania co chwila okrzyków zdumienia!

6.

Można było przewidzieć, że, kiedy Polska sielankowo-turniejowa (p. Weyssenhoff) zetknie się z Polską-dramatyczną (Wyspiański) — katastrofa jest nieunikniona. Po artykułach o Wyspiańskim (O laurach Wyspiańskiego, *Tyg. Ill.* r. 1909 Nr Nr 30 i 31) nastąpił w karjerze p. Weyssenhoffa — Sedan. Klęskę zadał mu p. Ignacy Matuszewski w *Sfinksie*, a potym w osobno wydanej rozprawie krytycznej p. t. *Weyssenhoff i „Laury" Wyspiańskiego*. P. Matuszewski wyrzuca p. Weyssenhoffowi, że Wyspiańskiego nie zrozumiał, nie odczuł, osądził złośliwie. P. Matuszewski przytoczył bardzo cenną uwagę p. Br. Chlebowskiego o Wyspiańskim: *odegrał on rolę młota, przebijającego otwór*, *który wpuszcza światło do duszącego nas ciasnotą i ciemnotą więzienia*.

Lecz cóż to znaczy owo wpuszczenie światła i powietrza? Oto to, że Polska powitała w Wyspiańskim silnie zarysowany typ dramatyczny, o żywiołowych sprzecznościach i dysonansach; przepych życia i zgrozę śmierci, straszliwy ciężar przeszłości i mozolne wykluwanie się przyszłości, powietrze ostre i surowe... W kulcie Wyspiańskiego tkwi dowód energicznego rozwoju i zapędów nowoczesnych, które zdaniem moim, dają się streścić tak: Polska duchowa chce się wyzwolić z niewoli *sielanki* i stworzyć dramat, którego surowe życie bardziej odpowiada dzisiejszej najgłębszej rzeczywistości. Dążenie do dramatu jest dążeniem do głębszej i surowszej prawdy a niszczeniem powabnej, cichej sielanki.

Lecz p. Weyssenhoff nie czuje wcale duszności dzisiejszego powietrza sielankowego. Z każdej stronicy p. W. wydziera się okrzyk: jest dobrze... Dla niego więc ów otwór był niepotrzebny! Trudno i niesłusznie wymagać, aby człowiek, dzierżący berło sielanki w ręku, *który sam jest uosobioną sielanką*, czuł zachwyt, gdy zbliża się *dramat*, którego przeznaczeniem jest: pożreć sielankę. Słysząc głosy o nowym wielkim poecie p. Weyssenhoff wyruszył na spotkanie z nim.

Sielanka nie zrozumiała dramatu. Jakaś siła wroga odrzucała p. Weyssenhoffa wstecz i nie dała mu przekroczyć progu Wyspiańskiego.

Krytyka wielkiego pisarza jest zawsze próbą zbliżenia się do niego na jak najmniejszą odległość. Tu wszelka próba była unicestwiona w samym zarodku. Już na progu, człowieka, przychodzącego po harmonję, spotykało rozdarcie psychiczne, bolesne, intensywne aż do chorobliwości. P. Weyssenhoff, krwisty i zdrowy, nie ma jednak tego intensywnego zdrowia i męstwa duchowego, które karmi się i krzepi

dopiero obnażaniem rzeczywistości, choćby najkrwawiej rozdartej, docieraniem do źródeł, choćby wywracających do góry nogami upodobania, które się tak mile rozkrzewiły i pretendują do nieśmiertelności.

7.

P. Weyssenhoff jako krytyk chce ocalenia pozorów, które dla niego są jeszcze rzeczywistością, lecz poza nim i jego sferą — tylko widmem. Tylko dwór polski może jeszcze uprawiać, bronić i beatyfikować sielankę, z jej miłemi rumianemi wdziękami i naiwnością dziecięcą. Formą artystyczną Polski niezapóźnionej, nie maruderskiej jest — dramat.

Dr W. STRUSIŃSKI.

Dramat bojowca wiedzy.

Życie i myśl Adama Mahrburga.

II.

Mahrburg zasadniczo był teoretykiem poznania i wiedzy ludzkiej wogóle. Teoretyzm krytyczny był nawet zabójczy dla własnej jego twórczości. Wierzył w prawdę, lecz wolał przeczyć fałszom i obłudzie. Silniejszym też był w burzeniu aniżeli w stawianiu.

Nienawidził braku wiary we fakta i babskich lamentów nad upadkiem i bankructwem nauki.

Stąd jego atak na dokadentyzm, gdy pisze: „Przeciwko naturalizmowi i realizmowi w sztuce wypuszczono kłęby dymu pod nazwami dekadentyzmu, nastrojowości, modernizmu i t. d.; złorzeczy się „mózgowi", który swoją trzeźwością i rozsądną działalnością przesłonił głębie przepastne „ nagiej duszy", jej żywiołowe instynkty i pragnienia".

On właśnie wierzył w „przyszłość mózgu"! Walczył z nieuctwem i maniactwem. Nienawidził zamków na lodzie, rozstrząsał sumienie nauki — na złość sobie i innym. Walczył z maruderami metafizyki, bo żądał zawsze i wszędzie ligitymacji wiedzy i poznania.

Mahrburg więc w zakresie czystego doświadczenia uprawiał *kult rozumu*. Wierzył w jego niezniszczalną potęgę. Pod tym względem był skrajnym *racjonalistą*, który byt opiera na ostrej krytyce. Ten buntownik świata przywidzeń i urojeń czuł, że z jasności i trzeźwości rozumu płynie moc spokoju.

Nienawidził chaosu, oraz linji załamanej: Całe życie duchowe wyobrażał sobie jako *mechanikę pojęć i definicji*.

Poza definicją rzecz dlań nie istniała. To umysł ją tworzy, a ponieważ *eo ipso* robota to niezbyt łatwa i trąci zbyt pracą Danaid, stąd twórczy umysł jego milczał; pracował zaś krytyczny, destrukcyjny, wojowniczy.

Pokonywał siebie własną bronią i stąd ten gniew u niego — pasja i namiętność bezpłodnego konstruktora bezpłodności!

Nie bez racji mówiono, że na dnie jego idealizmu poznawczego drzemie próżna niemoc. Wojownik poza domem, zaś przy ognisku własnem stawał się dzieckiem... Bo jeżeli cała wiedza ma być systemem definicji, gdzież więc ich sprawdzian, chyba znowu w innej definicji, skoro rzeczy niema! *Ad infinitum!* Albo ratując się, założymy sobie jakieś fundamentalne, trwałe, definicje; lecz to będą także nowe bożki i totemy wiary, których „mózg" przyjąć nie chce i nie może. Czyli że wojownik ma z niewidzialnym wrogiem pasować się do nieskończoności, bez szansy zwycięstwa i porażki.

Lecz w każdym razie Mahrburg walczył szlachetną bronią, bo jasnem i wyraźnem pojęciem, walczył uczciwie, bo silnie i z wiarą, *na pohybel* sobie samemu, a historycznie biorąc, walczył z przesądem i zabobonem, które się w definicje zdrowe ująć nie dadzą i dla ludzi postępu walka jego to wielki *signum temporis* a dla myśli empirycznej — podwalina!

Zamiast wyrywać luźne cytaty lepiej nieraz czytać między wierszami. Często bardzo nawias, lub niedopowiedzenie, więcej są warte, niż cały tom zapisany.

I w Mahrburgu trzeba wyjść poza jego dziennikarstwo filozoficzne, stanąć oko w oko z jego duszą,a raczej — mózgiem, a wtedy ujrzymy gorące pragnienie oczyszczenia nauki polskiej z upartego obskurantyzmu. Chciał ją uwolnić z czarodziejskich wstęg mistyki i złotych baśni. Chciał nauczyć umysły tężyzny i moralnej pracy myślowej, aż w upartem odkonserwatyzowaniu panujących poglądów stawał się — suchym klasykiem, lecz wszystko to płyneło z namiętnego kultu pracy duchowej.

Kiedy walczył, zapominał o sobie, a żył w świecie rzeczy — definicji. Mie widział ludzi, tylko pęd ducha twórczego — *kosmokulturę*!

Bo jej gorąco pragnął i sercem dziecka w nią wierzył.

I nie przeczę, że wśród naszej wiedzy oficjalnej są ludzie wielkiej erudycji, ducha i rozumu, są laboranci i technicy procesu wiedzy ludzkiej i polskiej nauki. Lecz tej źródła i ujścia są wielkie i rozmaite. Głos choć wroga czy profana, sympatyczny komu, czy nie—o ile mocny i szczery i o ile chce naprawdę dobrego — nie winien przejść bez echa. Szanujmy głos każdy, bo i tak ich niewiele — głos czujny, bez lęku, bez nawyczek starczej tradycji.

Skry.

Są ludzie, którzy nazywają satyry wymierzone przeciw sobie, jako kategorji typów, — paszkwilami. Z tego punktu widzenia nie ostoi się żadne dzieło sztuki: «Faust» nawet będzie paszkwilem na panny, którym przytrafiło się mieć nieślubne dziecko.

K. WROCZYŃSKI.

Z poza kurtyny.

TYDZIEŃ TEATRALNY.

„Moljer, który nie oszczędzał nikogo", powiada Chamfort: „nie napisał ani jednego wiersza przeciwko finansistom; podobno miał w tym względzie stosowne zlecenie Colbert'a".

Przypomniało mi się to zdanie z racji uwag pewnej części publiczności na premjerze komedji groteskowej Włodzimierza Perzyńskiego p. t. „Dzieje Józefa" wystawionej przez Teatr Polski. Sztuka naogół podobała się bardzo.

Utwory Perzyńskiego cechuje przedewszystkiem surowa oryginalność pomysłu, — wynik głębokiej wrażliwości sumienia artystycznego. Być może, że oryginalność owa staje zawadą między autorem a płytkimi smaki przeciętnej publiczności nawykłej, w sferze komedjowej zwłaszcza, do szablonowego strychulca intrygi miłosnej, do modyfikacji trójkąta małżeńskiego, do uznanej, tradycjonalnej galerji typów i sytuacji. Tymczasem zaś oryginalność Perzyńskiego, jakby nie dostrzegając łatwej możliwości jeszcze jednego strawestowania alkowianych „głębin", wkracza na tory zagadnień etyki stosowanej, buduje w tym stylu bardzo swoisty gmach o konstrucji parafraz biblijnych, wkracza wreszcie do środowiska starannie przez innych autorów naszych w dzisiejszych zwłaszcza czasach unikanego, — finansjery. Za jednym zamachem trzy zlekceważenia upodobań snobistycznej publiczki. Najstraszniejszą zwłaszcza zbrodnią jest włamanie się satyrykaautora w sferę unikaną nawet przez wielkiego Moljera. U nas zaś zwłaszcza dziś, gdy dzięki kolejom przedziwnego losu dotknięcie sfer finansjery jest równocześnie zderzeniem się z problematami semityzmu, którego atmosfera przenika światy finansowe, — satyra autora przeszywa jednym strzałem dwie ofiary i to ofiary organiczne nieznoszące od wieków najlżejszego publicznego zarzutu. Wolno ci tworzyć satyrę na arystokrację, — to satyra; wolno ci śmiać się z wad małomieszczaństwa, — to satyra; wolno ci wyszydzać własną brać apollińską, — to satyra.

Aleć nie wolno tknąć tabu finansjery, bo cokolwiek byś rzekł o owem tabutycznem sanctuarium, — to paszkwil!

Syczało-ż to miłe słówko w czasie antraktów sztuki, syczało...

I kto wie czy nie zachwiałoby ufności ogółu w dobrą wiarę autora, gdyby nie pierwszorzędne artystyczne zalety samego utworu

Nie, panowie! W idealnem państwie satyry wszyscy są sobie równi; niema tam przywilejów ani dla korrupcji arystokratycznej, ani dla kołtuństwa małomieszczańskiego, ani dla „zalet" finansjery. Śmiejecie się z wad i ułomności sfer innych, pozwólcie by i drudzy z was się nieco pośmieli, skoro was samych nie stać na giest taki. Stosujcie bierną „dobrą minę", ale nie walczcie niegodnemi środki: nie imputujcie artyście złej wiary, nie stosujcie dwóch miar, nie zwijcie satyry na samych siebie — paszkwilem. Widząc „belkę w oku" bliźniego waszego, pozwólcie by i w waszem dostrzeżono „źdźbło", zwłaszcza gdy dostrzeżenia owe ktoś czyni z taką maestrją, jak Perzyński w „Dziejach Józefa".

Wyznam, że oddawna nie słuchałem z tąką olbrzymią przyjemnością polskiej współczesnej sztuki. Nawskroś oryginalna transpozycja powieści biblijnej na wykładniki dzisiejszości, przeprowadzona w doskonale czystej tonacji komedjowej groteski; przepyszna galerja postaci począwszy od „barona Putiphara de Putyfarowskiego" (nawiasem mówiąc fenomenalnie zagranego przez K. Junoszę), cherlawego profesoramaga Szczytnickiego, nowego scenicznego typu — manikiurzystki, p. „Silbersteina" (nieco przeszarżowanego przez S. Jarnińskiego) skończywszy na samym bohaterze — Józefie; wreszcie cała ta pozbawiona książkowej literackości atmosfera naszego dzisiejszego życia: salonów pp. baronostwa, blagierskiego snobistycznego okkultyzmu zwyrodniałego w pasorzytujący na głupocie ludzkiej wróżbityzm, nakoniec odłam małomieszczańskiego światka wolnej profesji — manikiury i chiromancji (kapitalny akt czwarty), — wszystko to skąpane w lekkich ironicznych uśmiechach, podane z dyskretną iście paryską elegancją w cyzelaturze pierwszorzędnych dowcipów złożyło się na prawdziwie ciekawą premjerę Teatru Polskiego.

OTTO.

Wrażenia.

WIERBICKAJA: «Nowym torem».

Jakby nam niedość było naszej, swojskiej a «poczytnej» p. Heleny Mniszek. Jakby nam niedość było «Tiędowatych» «Paniczów» i innych z tegoż zakresu i poziomu przesłodkości beletrystycznych. Jeszcze-ż w imię asolidarnej tendencji: ex oriente lux, trzebaż importować Wierbicką?

Szanowni panowie nakładcy! Popierajcie przemysł krajowy! Mają-ż szare masy bezkrytycznego czytelnictwa pochłaniać tandetę powieściową, — to niechże żywią się strawą rodzimą, której napewno nie zbraknie. I pocóż margaryna zagraniczna?

Pewnie że tańsza od produkcji miejscowych, ale i ideowość nawet w branży wydawniczej posiada swe prawa

Książki nadesłane do Redakcji.

Tadeusz Nalepiński: «Śpiewnik rozdarty». Nowele. Naład i druk Tow. akc. S. Orgelbranda synów. Składy główne: E. Wende i Sp. Warszawa, H. Altenberg — Lwów Str. 300..

Czerwony Kogut: Nowele litewskie w tłomaczeniu Kazimierza Puidy, z przedmową J' Weyssenhoffa. Nakład Gebethnera i Walffa: Warszawa, Lublin, Łódź. Str. 256.

Jerzy Żuławski: «Przed zwierciadłem prawdy». Szkice filozoficzne. Nakład i druk Tow. akc. S. Orgerbranda synów. Skład główny: E. Wende i Sp. w Warszawie, H. Altenwe Lwowie. Str. 318.

Marjan Dubiecki: «Na kresach i za kresami». spomnienia i szkice. Kijów, 1914. arszawa Nakład księgarni Leona dzikowskiego, Marszałkowska 119. Str. 2S4.

Marja Grossek «Medytacje» Studja współczesności. Anioł wojujący. Tom I i II Str. XVI+352+110. Kraków Gebethner i Sp. 1914.

Elzenberg-Zlasnowska: «Juljusz Słowacki». Sceny z życia poety, w pięciu aktach. Warszawa, 1914. Nakład kasy przezorności i pomocy Warszawskich pomocników księgarskich, Str. 100.

Stanisław Ohlas: «Janek». Baśń historyczna Warszawa, 1914. Str. 264. Skład główny w księgarni K. Idzikowskiego, Nowy-Świat 21.

Ignacy Baranowski: «Wieś i Folwark». Studja z dziejów agrarnych Polski. Nakład księgarni W. Jakowickiego. Warszawa, 1914, Str. 300.

Zenon Pietkiewicz: «Ognlwa» Myśli o naszej teraźniejszości. Warszawa 1914. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, Str. 190.

Stanisław Kordaszewski: «Dzieje dawniejsze miasta Ostroga» Materjały do historji Wołynia. Z przedmową Al. Jabłonowskiego, oraz życiorysem autora przcz Henryka Mościckiego. Skład główny: Gebethner i Wolff, Warszawa, Str. 290.

«Ziemia polska w pieśni». antologja. Ułożył i wstępem opatrzył Jan Lorentowicz. Z 12 reprodukcjami obrazów artystów polskich. Wydanie drugie. Warszawa 1914 r. Nakł. Gehethnera i Wolffa, str. 507.

A. Wierbicka. «Nowym torem». romans nauczycielki. Z upow. aut. przełoż. Z Rysińska. Warszawa 1914 r. Nakł. Gebethnera i Wolffa str. 176.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 1-ej do 2-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Ogłoszenia po kop. 20 za wiersz garmonjowy jednoszpaltowy (strona zawiera 4 szpalty).

Zdumiewająco pomyślne wyniki przy leczeniu zasłabnięć nerwowych.

Niewielu ludzi zna istotną przyczynę swych cierpień, nie każdy zaś wie, iż wszelkie męczarnie powstają na gruncie osłabienia lub rozstroju systemu nerwowego. System nerwowy składa się głównie z mózgu i mlecza pacierzowego, z których z kolei rozgałęziają się po całym organizmie włókna nerwowe, tak iż mózg i mlecz pacierzowy stanowią ośrodki całego systemu nerwowego. stotnej zatem przyczyny choroby szukać należy nie w dotkniętem nią miejscu organizmu, lecz w centrum systemu nerwowego. Objawy tego rodzaju zasłabnięć są najrozmaitsze, mianowicie: bóle głowy, drgawki, bóle krzyża, twarzy, gardła, stawów, ćmienie w oczach, bicie serca, bezsenność, ciężkie sny i zmory senne, zawroty głowy, niepokój, tętnienie w żyłach, odpływ krwi z członków, drżenie rąk i kolan przy najlżejszym wzruszeniu, szum w uszach, niemoc płciowa, lękliwość, pijaństwo i inne. Głównymi sprawcami chorób nerwowych są: przemęczenie lub nieprawidłowe odżywianie systemu nerwowego. Do usunięcia tych przyczyn istnieją dwie drogi: bezwzględny spokój lub też wzmocnienie nerwów za pomocą materjałów odżywczych. Najradykalniejszem byłoby korzystanie zarówno z jednej drogi, jak i z drugiej, lecz rzadko się to komuś udaje. Brom, kawa, alkohol i t. p.—tylko chwilowo uspakajają lub podniecają nerwy, zaś przy dłuższem używaniu więcej przynoszą szkody, niżli pożytku. Do prawidłowego rozwoju wątłej roślinki i dla uczynienia jej płodną — jest rzeczą niezbędną — dostarczenie jej gleby, użyźnionej odpowiedniemi materjałami, tak ma się rzecz i z nerwami. Najlepszym pokarmem do odżywiania ich jest— dostarczenie znacznej ilości odpowiednich materjałów. Materjały te nie są niczem innem, jak fosforokwaśnemi związkami organicznymi, z których powiodło się d-rowi Hartmanowi tsworzyć preparat odżywczy, Kordjalinę, w dogodnej do przyjmowania postaci.

O tem, że środek ten w zupełności odpowiada swemu przeznaczeniu, wzmacniania nerwów bez pobudzenia tychże, świadczy mnóstwo głosów dziękczynnych zarówno ze strony lekarzy jak i osób, które się przekonały o jego skuteczności. Jakiego zdania o naszym środku są lekarze świadczy o tem list, nadesłany nam z klasztoru Karmelitów św. Piotra: „Prosimy o nadesłanie nam jeszcze 6 pudełek „Kordjaliny“, gdyż lekarz nasz domowy środek ten bardzo chwali i zaleca dalsze używanie go“.

Tysiące tej treści odezw zmusiły nas do wydania całej książki, w najwyższym stopniu interesującej wszystkich cierpiących na nerwy. Proponujemy W. P. wypróbowanie środka naszego zupełnie bezpłatnie, jedynie przez powołanie się na niniejszy artykuł. Na zapytani- W. P. kartą pocztową wyślemy bezpłatnie pudełko próbne tego leczniczego środka, prosimy jedynie o podanie adresu swego wyraźnie. Należy pisać bez najmniejszej zwłoki, gdyż wyczerpanie nerwowe może pociągnąć za sobą bardzo poważne powikłania — pod adresem: D-r K. Hartman, № 736, St. Petersburg, Wozniesienskij Prospekt № 57.

Redaktor: Wincenty Rzymowski. Wydawca: Józef Jabłoński.
Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.